№ 44. 30. Października 1893.

Tydzień

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Nowe prądy w Polsce.

Piotr Stroma: O społeczeństwie poznańskiem — Poznań 1893.
Nasz patrjotyzm. Podstawy programu współczesnej polityki narodowej. — Warszawa 1893.

Nasza literatura ulotna, któraby w formie broszur odźwierciadlała nowe prądy, powstające w Polsce, jest tak uboga i tak skąpa, że każdy objaw polepszenia w tym kierunku, jako dowód naszej zwiększającej się żywotności, skrzętnie i z szczególną pilnością notować winniśmy, a to zwłaszcza, gdy z pod prasy wyjdą na światło dzienne prace wysoce dla chwili bieżącej znamienne i zwiastujące w niedalekiej przyszłości doniosłe a zbawienne zmiany. Do takich prac należy zaliczyć dwie, których tytuły zamieszczone w nagłówku. Zestawienie ich treści obok siebie jest o tyle dla myślącego Polaka zajmujące, że każda z nich oparta jest na innej dzielnicy polskiej, zapoznanie się zatem z ich treścią pozwoli nam poniekąd zrozumieć stan każdej z tych dzielnic, jakoteż ich palące potrzeby w świetle umysłów śmiałych i naprzód kroczących. Ponieważ krytyczna część broszurki Piotra Stromy i na stosunki Galicji rzuca pewne światło, przeto na pierwszem miejscu kładę pracę »o społeczeństwie poznańskiem«, której też więcej poświęcę miejsca. Na wstępie zaznaczyć muszę jeden fakt dla stosunków poznańskich charakterystyczny, o którym autor nie wspomniał, bo zdarzył się on po wyjściu jego pracy. Broszurki Piotra Stromy nie chciała przyjąć na skład żadna polska księgarnia w Poznaniu z powodu jej rewolucyjności, a tak można ją nabywać tylko w księgarniach niemieckich, traktujących rzecz po kupiecku, czyli tak jak powinna być przez księgarzy traktowana. Sądzę, że ten wstęp zainteresuje każdego i zachęci do zapoznania się ze stosunkami poznańskimi.

Za punkt wyjścia służy autorowi skonstatowanie faktu, że »źle z nami«, co mu każdy, rzecz jasno widzący przyzna. Przyczyn tego faktu szuka autor nie tyle w zewnętrznych warunkach, na które wszystko spędzać lubimy, ile raczej w nas samych, sprawcach swego własnego nieszczęścia. Sięgając w dalszą przeszłość historyczną, zaznacza autor, że gdy inne ludy monarchję absolutną przekształcili zwolna albo też przekształcają jeszcze w państwa, dające władzę narodowi, w Polsce po upadku autokratyzmu wybujała nad miarę jedna kasta szlachecka oraz indywidualizm rozkiełznany i z jezuityzmem sprzężony. O dzisiejszej mówiąc chwili, narzeka autor na brak wiedzy i wykształcenia ogólnego czy też fachowego, które u nas istotnie chroma niemiłosiernie. Ciemnota bowiem nie jest wyłącznym przywilejem pewnej tylko upośledzonej warstwy, ale obejmuje całe społeczeństwo. Najbardziej typowym dowodem lekceważenia wykształcenia są tak zwani synowie obywatelscy, którzy z biedą ukończywszy gimnazjum dla uzyskania prawa do jednorocznej służby wojskowej, powracają na wieś i zabierają się do gospodarki, nie mając o tem najlżejszego pojęcia, bo tak czynili dziad i ojciec. Rezultatem tego są postępy komisji kolonizacyjnej, wobec których wszelkie nawoływania prasy są bezskuteczne i bezprzedmiotowe. Zastanawiając się nad względną wartością różnych warstw naszego narodu, znajduje autor najwięcej zalet i wartości w stanie włościańskim, którego wad atoli wcale nie zapoznaje. Przyczyną nędzy naszego stanu włościańskiego jest jego nadzwyczajna ciemnota, a za nią należy winę przypisać naszej inteligencji, która broni oświacie przystępu do chłopa. Niski stan krajowego handlu i przemysłu, przypisuje autor zakorzenionej pogardzie dla tych zajęć i brakowi wykształcenia fachowego, który pragniemy zastąpić niezdrowem hasłem kupowania u swoich choćby źle i drogo, chęcią dźwignięcia handlu i przemysłu nie na właściwych drogach praktycznych a przy pomocy haseł narodowych. Nasze Towarzystwa rzemieślnicze wychodzą z błędnego założenia w przekonaniu, że celem ich jest dawanie swym członkom wykształcenia fachowego. Przeciwnie towarzystwa rzemieślnicze powinny swych fachowo ukształconych członków informować o postępach metod i technologji, powinny dawać im ogólne wykształcenie oparte na ekonomji politycznej i naukach przyrodniczych. Skonstatowawszy zupełny brak arystokracji, gdyż kilka istniejących rodzin żyje po za granicami księstwa, stwierdza autor zgubną dla nas cześć

dla herbu i wszelkiego tytułu, stanowiących o wartości człowieka. Z koleji zatrzymuje się autor nad polityką chwili bieżącej, czyli nad tak zwaną polityką ugodową. Uznając w zasadzie jej racjonalność i potrzebę, ostrzega przed błędnem i nieumiejętnem jej prowadzeniem, które nie tylko do żadnego rezultatu nie doprowadzi, ale nawet wyda bardzo szkodliwe owoce.

Jedną z przyczyn panującego stanu rzeczy, jest według autora źle pojęta religijność, wykluczająca wszelką tolerancję, ten niezbędny warunek całego postępu umysłowego. Rzekomo z powodu, że ludowi naszemu nie należy odbierać religji, czego też nikt nie czyni, prześladują nasi klerykali wolność filozoficznego myślenia i paraliżują cały postęp wiedzy nowoczesnej przy pomocy biblji, tej księgi niezmiennej i martwej. Ponieważ nasza inteligencja i szlachta przywołuje religję i jezuitów na obronę przeciw socjalizmowi, przeto autor uspakaja trwożliwych, że po pierwsze socjalizm u nas jeszcze nie jest tak rozwinięty z powodu małego przemysłu, że po drugie żadne potęgi reakcyjne nie powstrzymają jego rozwoju z chwilą, gdy stosunki ekonomiczne i społeczne będą temu sprzyjać, jako słusznemu protestowi wyzyskiwanych i upośledzonych. Zamiast przeciwko socjalizmowi radzi autor walczyć przeciw temu, ażeby dobra publicznego nie wyzyskiwano w celach osobistych, jak się to wszędzie przy systemie nepotyzmu dziać zwykło. Nawołuje do krucjaty przeciwko instytucji synekur, tak bardzo pewne warstwy demoralizującej.

Gorżko narzeka autor na brak ruchu naukowego, który zapewne sam ciężko odczuwa; narzeka na brak wyrobionej opinji publicznej z powodu lichej i nieodpowiadającej celowi prasy; wreszcie wytyka bezprzykładne i bezkarne panoszenie się miernoty, jakoteż idące za tem służalstwo: zadzieranie nosa do góry przez jednych, płaszczenie się przez drugich.

Kończy autor część krytyczną, zaznaczeniem faktu, że się w Poznańskiem nawet bawić nie umiemy, że nawet życie towarzyskie silnie chroma, a to dzięki masie przesądów kastowych, rodowych i religijnych. Więc precz z herbem i tytułem, precz z przemożnym wpływem sutanny.

Jak zawsze w takich razach część krytyczna obszerniejsza jest i bogatsza, autor w krytyce mocniejszy. Inaczej też być nie może, bo krytyka jest początkiem wszelkiego postępu ku lepszemu. Można wskazać tylko drogi przyszłego rozwoju, ale form określić nie podobna. Tak też czyni i autor, który dla chłopów domaga się powiększenia ilości i lepszego zorganizowania Kółek włościańskich, dla kupców i przemysłowców przedewszystkiem więcej wykształcenia fachowego, dla inteligencji organu postępowego, któryby nowym hołdując prądom zerwał z dogmatem i kastowością, a klerykalizmowi cisnął w twarz rękawicę bojową.

Jeżeli może praca czarnymi malowana kolorami, jeżeli zapał autora bierze swe źródło w pesymizmie i niecierpliwości człowieka czynu, to wielu słusznych uwag i trafnego zrozumienia współczesnego stanu społeczeństwa poznańskiego odmówić autorowi nie można. Zresztą walka rozpoczęta, pole do krytyki otwarte i każdy kto się poczuwa do obowiązku, może kruszyć kopję w obronie napadniętych powag i świętości. Myśmy chcieli tylko zapoznać z treścią broszurki i zestawić ją z drugą w tytule wymienioną.

(D. n.)

Nadzieje młodości*).

Wszystkie mojej młodości nadzieje
Odbieżały mnie w życiu powoli.
Jeśli czasem łzę gorzką wyleję
I zawołam, że serce mnie boli,
Niechaj na mnie ten ciśnie kamieniem,
Kto sam zawsze pewną stąpał nogą,
Pod dźwiganem nie zgiął się brzemieniem,
Nie zawołał, że zmęczył się drogą...

Mnie zaczyna brakować tej siły
I na usta skarga się wyrywa,
Choć wiem o tem, że cisza mogiły
Da sen, w którym dobrze się spoczywa;
Lecz zostanie jeszcze tylu ludzi —
Niebo, ziemia — te lasy, te pola...
Kto wie: żali w grobie mnie nie zbudzi
Czyja skarga i czyja niedola?

Marja Ilnicka.

Z zakurzonych szpargałów**).

W zakurzonych jakichś szpargałach, niewydanym nigdy rękopisie, jakiś nieznany szerszemu ogółowi autor, rozpoczął był pisać t. zw. »Historję złotówki«.

»Historja złotówki« ma jedną, jedyną zaletę, jest krótka. Brzmi zaś tak:

— Brzęk!!!... — ozwał się czysty dźwięk srebra, rzuconego na płytę marmurową.

— Brzęk!!! — słyszałam wyraźnie po raz drugi.

— Brzęk!!! — rozległo się znowu i znowu i znowu.

*) Z „Upominku“ dla Orzeszkowej.

**) Urywek z nowelki Rutkowskiego p. t. „Jeden poranek.«

Wreszcie przyszła na mnie kolej. Upadłam na marmurową płytę, jak drzewa kawałek, z odgłosem przytłumionym i głuchym. Jakieś zaczernione palce ujęły mnie silnie i przybliżyły do światła lampy gazowej.

— Ujdzie! — usłyszałam wyrok, wyrzeczony głosem zachrypłym — niech tylko Szymkowa puszcza w kurs ostrożnie, bo złotówka trochę za gruba.

W tej chwili uczułam, że lecę w przepaść głęboką. Znalazłam się w kobiałce w towarzystwie setek krążków, do mnie podobnych. Stało się! Jestem, istnieję... Jestem monetą, złotówką — i to fałszywą.

Bo niech was nie łudzi blask, bijący odemnie. To fałsz. Niech was nie mami napis i znak herbowy. To fałsz. Z wierzchu nadano mi wszelkie pozory złotówki srebrnej, świeżutko z pod stempla. W rzeczywistości cała moja istota zrobioną jest z miedzi, dano mi tylko sukienkę jasną i srebrzystą. Przypomniałam sobie dźwięki jasne, słyszane przed chwilą: »Brzęk! Brzęk! Brzęk!!! I zrobiło mi się smutno. Wiem, wiem — przez całe moje istnienie, sądzono mi być tylko kopciuszkiem.

Niedługo jednak dano mi zażywać spokoju, Do kobiałki wsunęła się jakaś dłoń szorstka, ujęła nas garść całą i wsypała do zamszowego woreczka. Była to rączka, a raczej łapa pani Szymkowej, niewiasty wielce w kształty obfitej, o rubinowo-granatowym nosie i maleńkich oczkach świdrowatych. Zadaniem korpulentnej niewiasty, było puszczanie w kurs kopciuszków mnie podobnych. Jakoż w procederze swym doszła do wprawy znakomitej.

Dzień był pochmurny, szary, ponury. Nad czarnym od miału węglowego brukiem, unosiła się mgła lekka. Pozostawiało ją w spokoju słońce, chmurami okryte. Dymy z kominów, zamiast wzlatać ku niebu, pełzały po dachach domów, spadały aż na ulicę, osiadały na szybach okiennych. Dzielnica fabryczna, miejsce mego urodzenia, kąpała się cała we mgle i wilgoci jesiennego poranku. Szymkowa dreptała po bruku żwawo. Należało zdążyć do środka miasta dość wcześnie, aby skorzystać z ożywionego ruchu w sklepach. Powoli mijaliśmy zakopcone mury, wysokie kominy i okna od sadzy zczerniałe. Jeszcze chwila — i oto jesteśmy przed dostatnim handlem win i towarów kolonialnych, pod wspaniałym szyldem, wyobrażającym uwieńczonego Bachusa. Szymkowa weszła śmiało, zażądała czegoś jeszcze śmielej i położyła mnie na stole sklepowym najśmielej. Na szczęście na kontuarze płyty marmurowej nie było. Wrzucono mnie do przegródki metalowego koszyczka, gdzie zastałam kilkanaście towarzyszek, które los uposażył w dźwięki i we wdzięki prawdziwe, Jakże mi moje metalowe serce biło ze strachu! A nuż się na mnie poznają i usunięciem z porządnego towarzystwa spostponują!...

Ale nie zanosi się na to. Leżę sobie w szufladzie półotwartej i na świat Boży, a raczej na kawałek świata, zamknięty w murach sklepu, spoglądam. Bardzo tu na tych kilkunastu łokciach kwadratowych wesoło. Z przyległego pokoju dochodzą nas echa ożywionej rozmowy, przerywanej szczękiem noży i widelców, pukaniem korków z szampanek. Subjekci z misternie przyczesanemi grzywkami biegają jak opętani, goście napływają coraz to nowi. Przebywający w zakładzie od godziny stają się czułymi, jakby świat cały chcieli objąć w uścisku, po dwóch godzinach rozrzewnienie wzrasta, po czterech nadmiar uczuć działa tak silnie, iż niektórych z gości wyprowadzają z zakładu ostrożnie, jakby byli ze szkła, nie zaś z krwi i kości. Wreszcie zbliża się do kontuaru młodzian wielce szykowny, ubrany podług mody ostatniej, ze szkiełkiem w oku.

— Rachunek?

— Tak jest.

— W tej chwili panu dobrodziejowi służę. Wódeczka, przekąska była? nie była? Majonez, »filet«, ser, pół burgunda... Kawka, koniaczek... Cygarko było? nie było? Dwa ruble pięćdziesiąt...

Młodzieniec wydobywa pugilares i rachunek reguluje. Subjekt zanurza rękę w koszyczek, natrafia na mnie i dwie moje towarzyszki. Wędruję do nowej portmonetki.

Tego dnia nie dano mi już oglądać dnia białego. Dopiero wieczorem pan mój otworzył portmonetkę. Ujrzałam stolik, suknem zielonem obity, karty i potężne dwa świeczniki dwuramienne, jaskrawe, rzucające blask. Około stolika siedziało czterech panów, mocno pobladłych od długiego czuwania, przeciągających się na krzesłach, jakby na madejowem łożu.

— No, jeszcze jednego robra — zachęcał gospodarz.

Ale trzej panowie zaprotestowali żywo:

— Piąta godzina rano! Cóż znowu!

Wzięto do ręki kredki i zaczęto sumować długie cyfr szeregi. Okazało się, iż pan mój przegrał. Położył więc kilka banknotów na stole, nieco srebrnej monety dorzucił i oto przechodzę już w trzecie ręce. Ależ, doprawdy, życie nie jest tak złem, jak go twórca mój malował. Straszne opowiadano o mnie w warsztacie rzeczy, puszczanie mnie w kurs, miało narazić panią Szymkową na jakieś niebezpieczeństwo; miano mną pogardzać, pomiatać, miano mi zaprzeczać miana monety, kurs w kraju mającej; miano mnie zmaltretować, a potem zniweczyć. Tymczasem wszystko dzieje się inaczej. Przechodzę swobodnie z rąk do rąk, jak gdyby mincarz z najszlachetniejszego wykuł mnie metalu. »Jesteś wcielonym fałszem«, powiedziano mi przy urodzeniu. Ależ,

na Boga, cóż mi to szkodzić może, skoro świat szanuje mnie, jak prawdę, nie zwraca nawet uwagi na drobne niedokładności w odrobieniu, nie pyta, co mam w sobie, ale na pozorach poprzestaje. Co prawda, obracałam się dotychczas wśród ludzi bardzo przyjemnych. Dotykały mnie dotychczas tylko paluszki o paznogciach zlekka zaróżowionych, wytworne, miękkie, atłasowe; brały mnie ręce wykwintne i wypieszczone, ozdobione pierścieniami o kosztownych kamieniach. Oprócz szorstkiego dotknięcia mego twórcy i niezbyt delikatnej łapy pani Szymkowej, nie miałam dotychczas do czynienia z ręką spracowaną i grubą. Powiecie, iż znam świat jednostronnie? Być może.

Mówią, że póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Przez kilka miesięcy kursowałam sobie spokojnie, aż wreszcie poznano się na mojej wartości. Myślicie, iż na razie zaszkodziło mi to w opinji? Bynajmniej. Bo oto pewnego pięknego poranku dostałam się w ręce wielce szlachetnej matrony, która, oprócz dwóch mopsów, jednego pinczera, trzech kotów i czterech kanarków, kochała dodatkowo ludzkość całą. Była to filantropka w wielkim stylu, z sesji dobroczynnej szła na posiedzenie, z posiedzenia na sesję. Wprawdzie ani prawica, ani lewica matrony nie czyniły miłosierdzia, ale za to język cuda rozpowiadał o czynach dobroczynnych swej pani. Szlachetność jednak ducha filantropki i miękkość jej serca nie wykluczały praktyczności w życiu codziennem. Kiedyś tedy, gdy pani moja liczyła stosy drobnej monety, miałam zaszczyt zwrócić na siebie uwagę. Matrona przyjrzała mi się bacznie; rzuciła na stół raz i drugi, a gdy przekonała się dowodnie o mej niecnocie, starała się pozbyć niepożądanego nabytku. Aliści pierwszy krok dużo kosztuje, następne idą łatwiej. To też z nieufnością zaczęto na mnie spoglądać, zwracano mej pani uporczywie. Napróżno przedstawiana była kolejno: konduktorowi od tramwajów, dorożkarzowi, posłańcowi. Krzywiono się na mnie. Więc pani postanowiła zużytkować mnie na drodze filantropji. Pamiętam, jak dziś, wieczór był okropny. Deszcz ze śniegiem ciął prosto w twarze przechodniów, zalewał oczy, przedostawał się nawet za bobrowe kołnierze i dreszczem febrycznym wstrząsał wszystko, co żyło. Niekiedy wicher wypadał z jakiegoś zaułka, szalał na placach, skwerach i ulicach, miotał się, jak szalony przez czas jakiś, i ginął w przestrzeni. Zamglone latarnie słabo oświecały plac Saski, ożywiony w tej chwili ruchem sanek, pędzących od strony placu Teatralnego, i tłumami przechodniów, powracających z teatru. Nie wszyscy jednak na placu mają miny zadowolone i szczęśliwe. Oto tam, naprzykład, na rogu, stoi postać zgarbiona, uosobienie rozpaczy i smutku. Okręciła się ta nędza szmatami jakiemiś, a wychudłemi rękami dziecię przyciska do piersi, w której maleństwo nie znajdzie mleka ani odrobiny, choć kwili tak żałośnie. Czyżby w tym tłumie pań i panów nie znalazła się ani jedna dusza, współczująca niedoli? Znajdzie się z pewnością. Oto już znalazła się nawet. Szlachetna matrona, moja pani, powraca właśnie z bardzo zabawnej krotochwili, nietyle scenicznej, ile obscenicznej. Powraca w kółku bardzo wesołem, gdy nagle czułe serce jęk kobiety-matki uderza. Co to jest? Nędza? Ach, poczekajcież panowie, niech aktu miłosierdzia dopełnię... I oto matrona szuka długo w kiesce i przebiera w srebrnikach. To o mnie idzie, o mnie, której ani konduktor od tramwajów, ani dorożkarz, ani posłaniec przyjąć nie chciał. Wreszcie znajduje mnie matrona, pełna filantropji.

— Nie macie panowie drobniejszej monety na zmianę?

Nikt nie ma drobniejszej monety na zmianę. Więc pani moja okazuje towarzystwu pieniądz przy świetle latarni gazowej, że aż blask idzie z moich pozorów posrebrzanych, poczem wręcza pieniądz kobiecie, tulącej wyschłe niemowlę do piersi jałowej. Babina pozostaje sama. Śnieg z deszczem, choć chłoszcze, jak poprzednio, wydaje jej się drobnostką; wicher mroźny zabarwia się ciepłemi podmuchami nieledwie wiosennego wietrzyku. Bo oto złotówka w dłoni — to cała przyszłość, a przynajmniej doba spokojniejsza. Niech będzie błogosławione niebo, które szlachetne matrony pełne filantropji stworzyło! Nazajutrz, skoro świt, idzie ta nędza po mleko, bo najpotrzebniejsze dla dziecka. Przychodzi do mleczarni i płacić chce monetą brzęczącą, otrzymaną w przededniu, to jest mną, w mojej własnej posrebrzanej osobie. Aliści mleczarka nie w ciemię widocznie bita. Ogląda mnie na wszystkie strony i kobiecie pieniądz oddaje.

— Fałszywa.

— Fałszywa? zkądże znowu fałszywa! Ofiarowała ją wczoraj jakaś szlachetna pani z bardzo obficie wypchanego woreczka. Ale mleczarka trwa przy swojem; więc babina powraca do domu z niczem, a potem z rozpaczliwą stałością stara się mnie umieścić gdziekolwiek. Piekarz, rzeźnik, przekupka na targu, sklepiczarka — wszyscy mają mnie w ręku i wszyscy wyrzekają się mnie, jak złego ducha. Więc kobieta o wyschłej piersi staje znowu na rogu placu Saskiego i czeka. A może zjawi się jakaś szlachetna matrona, która choć przez omyłkę rzuci monetę, tym razem prawdziwą? Ale co do mnie, źle mi się dzieje. Dopóki kursowałam wśród ludzi, którzy sypiają na puchu i cukier łopatą jadają, byłam w poszanowaniu; gdy dostałam się do nędzy, rzucają mi co chwila w oczy: »Jesteś fałszem!« I tylko czasami w cieniach nocy udaje mi się odnieść zwycięztwo nad przesądem, który fałsz wyklina i od fałszu stroni. Czasami tylko pod płaszczem nocy zapominam, że jestem jeno krążkiem miedzianym, odzianym w srebrne po-

zory. Ach, gdybyż na dłużej dostać się do rąk aksamitnych, paluszków atłasowych, zakończonych różowemi paznogietkami! Bo, przebywając pomiędzy hołotą, mogę się doczekać strasznej ostateczności: mogę być porzuconą w błoto, jako rzecz bezużyteczna, a nawet szkodliwa, jako fałsz, kursujący swobodnie u góry, pędzany i gnębiony na nizinach...

GOUNOD.

Twórca »Fausta« umarł przed paru dniami, a z jego śmiercią traci Francja ostatniego w muzyce romantyka. Odczuje tę stratę niewątpliwie, choć może nie z tego tytułu, który ją czyni najdotkliwszą. Modą jest dzisiaj z góry patrzeć na romantyzm i grzebać go uroczyście, ilekroć schodzi ze świata ktoś, co nie odbywał pielgrzymki do Bayreuth'u. Ale choć ludzie umierają, twórczość ich, o ile była prawdziwą, szczerą, natchnioną, pozostaje zawieszoną w atmosferze duchowej, wytwarzając z nieśmiertelnej istoty swojej kwiaty, z których nazwaniem biedzi się potem historja. Powstają wtedy najrozmaitsze »neo«, przysłaniające nową niby sukienką stare ideały, i teoretykom ewolucji staje się zadość. Doczekał się już raz swego odmłodzenia i romantyzm; a to, co się dziś dzieje w operze młodych Włoch, pozwala wnosić, że go się doczeka powtórnie, kiedy muzyka przyszłości zacznie należeć do przeszłości i wagneryzm przestanie zawracać słabe głowy ibsenistom w muzyce. Niewiele może lat potrzebowałby jeszcze żyć Gounod, aby patrzeć na nową edycję neo-romantyzmu; ale nie każdemu danem jest umrzeć na tym etapie wędrówki życiowej, z którego widać jednocześnie i zachodzące słońce, i majaczącą jutrzenkę. W braku tej pociechy umierać musiał Gounod z myślą, że jego siedemdziesięcio-sześcioletnia egzystencja szlachetną wypełniona była treścią.

Urodzony w roku 1817 w Paryżu i kształcony w początkach muzyki przez matkę, utalentowaną pianistkę, studjował następnie Karol Gounod harmonję pod kierunkiem Reich'a i Halévy'ego i otrzymał w roku 1837 drugą, a później w roku 1839 pierwszą nagrodę kompozycji. Znalazłszy się w roku 1843 we Włoszech, zatonął cały w pięknościach mistrzów z XVI-go i XVII-go wieku, napisał tam »Requiem« i niedalekim był od porzucenia muzyki dla teologji, tak jak willę Medyceuszów opuścił dla seminarjum rzymskiego, gdyby nie wpływ Mendelssohn'a i Schumann'a, których dzieła poznał był w przejeździe przez Niemcy. Po powrocie do Paryża był jeszcze przez lat sześć kapelmistrzem przy kościele »misji zagranicznych«, dopiero wpływ Pauliny Viardot-Garcia otworzył mu podwoje Wielkiej Opery, gdzie »Safona« (1851) i »Krwawa mniszka« (1854) zwróciły uwagę na młodego kompozytora, wynagradzając mu obojętne przyjęcie przez publiczność i krytykę pięknych chórów do »Ulissesa« Ponsard'a. Nie symfonja jednak: »Królowa Apostołów«, ani skomponowane później w latach 1855 i 1856 również symfoniczne utwory, ani kantata, napisana na przybycie królowej angielskiej do Paryża, ani wreszcie wykonany w »Théatre lyrique« »Doktor z musu« rozsławiły imię Gounod'a po całym świecie; wielki rozgłos 43-letniego wtedy muzyka datuje od »Fausta« i, dosięgnąwszy punktu kulminacyjnego, nie wzmaga się już, mimo zdwojonej twórczości, która zdobywa się na takie opery, jak: »Filemon i Baucis« lub »Romeo i Julja« (nie licząc »Królowej Saby«, »Mireille'i« i »Sardanapala«), na takie oratorja, jak: »Tobiasz«, »Siedem słów Chrystusowych«, albo »Mors et vita«.

Przyczyny tego ustalenia się popularności Gounod'a na pewnym poziomie, szukać trzeba w naturze jego talentu. Kompozytor stworzył w »Fauście« swoje typowe dzieło, w którem wypowiedział odrazu wszystko, co miał do powiedzenia, a wypowiedział w formach tak charakterystycznie francuskich, że się ich już później w całym dalszym dorobku artystycznym Gounod'a, stale doszukiwano.

Niemieccy mistrze popchnęli go byli niegdyś na drogę dramatycznej twórczości; niemiecki poeta dał mu temat do najlepszego dramatu, ale w tem obcowaniu z niefrancuskiemi wzorami został Gounod tak dalece Francuzem, że nawet romantyzm jego, mimo giermańskich początków, ma czysto narodowe cechy.

Dwa przeważne wpływy w rozwoju jego talentu, wpływy kobiety i Rzymu, wysuwają na pierwszy plan dwa zasadnicze pierwiastki twórczości Gounoda, które też są głównemi motywami pierwotnego, krynicznego, u niemieckich źródeł czerpanego romantyzmu, miłość i religja; tylko że właściwości rasy wyciskają na nich swoje piętno. Gounod w »Fauście« stworzy idealną Małgosię i jej imieniem ochrzci cały dramat; wyspiewa grozą przejmujące »Dies irae« w scenie kościelnej; ale uczucie jego nie rozpłynie się w sentymentalizmie, ani religijne uniesienia nie sięgną do mistycznych wyżyn. To samo będzie z »Julją«, to samo ze słynnem »Ave Maria«. Shakespeare nie udzieli Gounod'owi swej renesansowej wybujałości, ani stary Bach nie zaimponuje mu swoją surową powagą; Francuz przyłoży do wszystkiego miarę swojej elegancji, wytworności, zastosuje wszędzie swoje romańskie poczucie proporcji, jasności, rysunku i harmonji barw. Stracą może nieraz ci, na których się oparł, ale nie zapominajmy, że opera francuska, taka nawet, jaką w zetknięciu z no-

wszemi prądami wykształcili Gounod, Bizet i Massenet, urodziła się z dawnej uśmiechniętej romantyczno-komicznej opery, której rodzajowy nastrój, z całym swoim lekkim wdziękiem, tkwi głęboko w charakterze francuskim.

Od jednego zewnętrznego wpływu nie bronił się zgoła Gounod — od sumienności w zgłębianiu technicznej strony swej sztuki. Muzykiem był autor »Fausta« w całem tego słowa znaczeniu, muzykiem, którego pomysły miały niewzruszoną podstawę rozległej wiedzy, tem cenniejszej, że jej nigdy widać nie było. Ktoby się domyślił, słuchając aktu w ogródku i ślicznego kwartetu, w którym liryzm, płynący łatwo, szeroko, tak szczęśliwie stapia się z motywami dowcipnej charakterystyki, że faktura tej sceny stawia ją w rzędzie najkunsztowniej obmyślanych, najumiejętniej przeprowadzonych w nowoczesnym repertuarze operowym! Dość zestawić tę scenę z kwartetem ogródkowym w »Mefistofelesie« Boity, aby w tem porównaniu stwierdzić raz jeszcze pewnik, że co innego są genialne błyski a co innego talent, który objawić się może w formach, w stylu, nawet wtedy, gdy treść niema genjalnej oryginalności.

Styl Gounod'a szlachetny jest zarówno w rysunku jak w kolorycie: motywy o wytwornym zakroju, dalekie są od wszelkiej banalności, barwy kojarzą się w efektach instrumentacyjnych, w których nie znać nigdy pogoni za błyskotliwością. Formy spokojne nawet w uniesieniach liryzmu (duet 2 aktu Fausta i Małgosi), nawet przy dramatycznej energji (śmierć Walentyna), nawet w demonizmie (duet kościelny Mefista i Małgorzaty), graniczą niekiedy z klasyczną powagą, naprzykład w prologu do »Romea i Julji«, ożywia je zaś zawsze tchnienie poezji, wywyższające twórczość Gounod'a ponad szkoły i hasła artystyczne.

Wszystko to dziś umilkło, jeżeli milczeniem nazwać można niedosłyszalne drgania rozproszonych po odwiecznych przestworzach atomów myśli i uczuć ludzkich.

Z drgań tych układa się w czasie i przestrzeni coraz to inna muzyka, a w niej niejedno pokolenie usłyszy jeszcze i odczuje piękną nutę Gounod'a. *W. Bogusławski.*

Cyganie w swej ojczyźnie.

Przy współudziale redakcyjnym arcyksięcia Józefa Habsburskiego wychodzi w Peszcie czasopismo etnograficzne*), którego zeszyt czerwcowy zawiera następujące studjum o cyganach, przez arcyksięcia skreślone.

»Niedawno temu w kilku komitatach węgierskich, po tamtej stronie Dunaju leżących, zabroniono cyganom konie trzymać i konfiskowano je, jak tylko zakazowi temu nie byli posłuszni. Stronić przeto zaczęli cyganie od tamtych okolic i odwiedzać częściej moje posiadłości, ile że dokładnie było im wiadomo, że u mnie krzywdy nie doznają.

Wszystkie rodziny cygańskie znały mię dobrze. Kiedy ostra zima się zdarzy, chronią się to na folwarku jakim, to przy oborze i wiedzą, że zawsze znajdą pomoc i kęs chleba. Ale niech tylko śniegi stopnieją, już ich nie ma, już w świat poszli.

W wędrówkach swoich zachodzą oni z jednej strony Dunaju do komitatów Heweskiego i Turockiego, z drugiej aż do Kroacji, Slavonji, a czasem i do samego Fiume. Urzędownie zapisani są wszyscy w komitatach: Pesztu, Esztergom, Fejervar, Komarom i Vesprem, i posiadają paszporty na całą Europę na rok, na dwa i trzy lata wydane.

Praktykują oni kilka rzemiosł: mężczyźni najchętniej handlują końmi, kują konie, robią gwoździe itp. Kobiety trudnią się głównie wróżeniem i znajdują posłuch wszędzie, od najskromniejszej chatki aż do pałaców książęcych. Niektóre żebrzą, a zdarza się, że i okradną, jeżeli się uda, w czem pomagają im zresztą sprytnie i mężczyźni.

Kiedy ciągną przez moją posiadłość, zawsze do zamku wstępują. Jeżeli mię niema, rozsiadają się na schodach i czekają aż wrócę.

Odzież cyganów zazwyczaj jest niedostateczna — poszywana z różnych kawałków; dzieci często całkiem bez odzieży się obywają.

Zaledwie połowa cyganów ma cerę typowo ciemną i włosy czarne pokręcone, wijące się w kędziorach. Większa część dzisiejszych cyganów ma włosy jasne, także kręcące się i skórę białą. Typy prawdziwie piękne rzadko spotkać można, zarówno wśród kobiet, jak i wśród mężczyzn.

Oprócz właściwego djalektu, do rumuńskiego podobnego, moi cyganie, o ile są dorośli, mówią po węgiersku, z cygańskim akcentem, wielu z nich mówi też po słowacku, niektórzy po kroacku, a pewna młoda cyganka, która z innemi bandami po Czechach i Niemczech chodziła, obok swojego, cygańskiego narzecza, mówiła po węgiersku, po słowacku, po czesku i po niemiecku.

Cyganie ci, rozłożywszy się taborem, mieszkają w namiotach i nie znoszą innej siedziby nawet w najcięższą zimę. Chleba piec nie umieją i tego nawet u mnie nauczyć się nie mogli. O ile chleba im zabraknie, a mąka jest, to przy-

*) Etnographische Mittheilungen aus Ungarn.

rządzają z niej rodzaj tęgich klusek, które pieką w gorącym popiele. Zowie się to »bokhali«. Za mięsem przepadają, a w braku świeżego, nawet padliną są w stanie się zadowolnić. Padlinę gotują z octem, o ile go mają.

Razu pewnego, kiedy już parę miesięcy w moich dobrach obozowali, zabito chorą krowę i zakopano ją w ziemi. Obawiając się, aby jej cyganie nie odkopali i nie zjedli, przez trzy dni i noce kazałem trzymać wartę na miejscu, gdzie krowę zakopano. Na nic się to nie zdało: na czwartą noc, kiedy warta odeszła, cyganie krowę odkopali i wyprawili sobie całodzienną ucztę. Podczas tej uczty dwunastoletniego cygana mucha ukąsiła, tylko co sfruąwszy z padliny. Chłopcu spuchł straszliwie nos i szyja. Posłałem go czemprędzej do kliniki w Budapeszcie i tu szczęśliwie dokonano mu operacji a potem zupełnie go wyleczono.

Skaleczenia wszelkie leczą się u cyganów bardzo szybko, co z łatwością można obserwować, albowiem przy lada sprzeczce cyganie biorą się do pięści i do krwi się biją. Pewnego razu dwóch cyganów kuło goździe, każdy na osobnem kowadle i przy oddzielnem ognisku; ale cóż — jednemu ogień palić się nie chciał, Wnet zwada i zgiełk ogólny. Przechodząc niedaleko, zbliżyłem się do cyganów i właśnie w moich oczach padł na ziemię krwią zbluzgany jeden z walczących — tamten poczęstował go przez głowę jakimś drągiem żelaznym i zdarł mu z czaszki kawał skóry, że naga kość świeciła. Posłałem do domu, zrobiłem opatrunek antyseptyczny i po czterdziestu ośmiu godzinach cygan był zdrów jak ryba. Swoją drogą do mojego domowego lekarza żadnego nie mieli zaufania, choć ja od niego wziąłem ów środek antyseptyczny. Wierzyli też bardzo we własności proszku jodoformowego, który przezwali »galbano drab«, to jest »żółty korzeń« w ich narzeczu.

Inteligencji, oraz szybkiego pojmowania rzeczy, odmówić cyganom nie sposób. Miałem sposobność to zauważyć podczas krótkiej egzystencji w moich dobrach szkoły cygańskiej, do której uczęszczały wszystkie cyganiątka, po lat 6 do 15 wieku liczące. Kapłan katolicki, Andrzej Racz, który w krótkim czasie cygańskiej mowy nieźle się wyuczył, prowadził tę szkołę z powodzeniem. Spiew nadewszystko i deklamacja szły wybornie; nawet dłuższych utworów poetycznych i oracjj uczyły się bardzo chętnie.

Do roboty ciężko było te dzieci, starsze zwłaszcza, nakłonić. Kopanie ziemniaków, albo zbieranie kamieni po polach, szło jeszcze jako tako; ale przy innych robotach w polu ciągłe były narzekania: to na ból krzyża, to na ból głowy itd. A najtrudniej było z płacą. To raz chcieli brać pieniądze od sztuki, to za dzień, to znowu od sztuki i tak bez końca.

Tradycjonalna zręczność ich do kowalstwa uwydatniła się bardzo w kuźni. Wychodziły z niej haki, gwoździe, łańcuchy i t. d. w ilości, jakiej tylko całe gospodarstwo potrzebowało.

Gdy jednak osiedli u mnie, wnet zapragnęła ujrzeć cyganów w swych progach komisja wojskowa. Opierali się jak mogli, powołując się na jakieś stare przywileje, które od służby wojskowej jakoby ich zwalniały. Gdy jednak to nic nie pomogło, większa połowa cyganów pokryjomu wyniosła się do Miskolcza, ztąd dalej, i tak włóczyli się coś dwa miesiące, obrawszy sobie za przywódcę ślicznego młokosa 18 letniego, ożenionego z równie piękną cyganką, 24 lat liczącą, która właściwie wszystkiem rządziła. Sprzykrzyła się im jednak ta włóczęga i pewnego dnia znów do mnie zawitali. Przyjąłem ich, ale pod warunkiem, że mężczyźni natychmiast stawią się do komisji werbunkowej. Usłuchali rozkazu, który ja z pełną świadomością rzeczy wydałem, albowiem nie przyjęto żadnego, wszyscy nie mieli przepisanej miary...

Cyganie są wogóle bardzo przesądni. Kuny boją się; są przekonania, że kiedy który kunę dostrzeże, wnet zachoruje, albo mu się nieszczęście przytrafi. Kiedy zamieszkali w chatach ziemnych, zbudowanych dla nich w moim majątku, żaden nie chciał objąć ostatniej, na skraju kolonji leżącej, bo jak powiadali, tamtędy zły duch Ruvanas przechodzić będzie. Na prośby ich kazałem tę chatę na kuźnię przerobić. Jeszcze gorzej było w innym majątku moim, w Göböljaras. Tutaj pobudowano im siedziby bardzo wygodne pod samym lasem. Dzień w dzień przychodzili ze skargą że w jamie pozostałej po dawnej cegielni, siedzi Phuvus, który już ich ostrzegał, że co do jednego uśmierci wszystkich. Kazałem jamę zasypać. Ale oto przychodzą i narzekają znowu, że żaby i węże pełzają do nich z pobliskiego bagna i że ja chyba ich śmierci pragnę. Próżno tłumaczyłem i namawiałem, skończyło się na tem, że pozwoliłem im rozpiąć namioty pod samemi budynkami folwarcznemi i już było dobrze.

Jakkolwiek wszyscy cyganie są chrzczeni po katolicku i do tego wyznania należą, nie wiedzą jednak ani trochę, jak nasza religja wierzyć uczy. Na oko są niby pobożni, pieśni śpiewają, ale prawdziwa wiara do dusz ich nie przenika, to stać się może kiedyś z czasem, o ile młodsze pokolenia systematycznie będą kształcone.

Wesela odbyły się tylko dwa w całym tym okresie czasu i wtedy trwał bankiet od wczesnego ranka do nocy. Około godziny 3 »wojewoda« włożył narzeczonym w usta po kawałku chleba z solą i to była cała ceremonia; nazajutrz dla jej uzupełnienia, jak tylko młoda para się przebudziła, rodzice obudwu stron zawiązali pannie młodej na głowę chustkę, jak mężatki noszą, i na tem koniec.

Metryki i świadectwa chrzestne z trudnością przyszło mi wydobyć, i to dla niewielu, bo mało który cygan umie powiedzieć, gdzie się urodził, albo gdzie został ochrzczony. Prawie każdy na odnośne zapytanie umie tylko powiedzieć: »opre dromeste«, co znaczy »tuż przy drodze«.

Jak tylko dziecko cygańskie się urodzi, zaraz przynoszą je do mnie, choćby na świecie 18 stopni zimna było. Przynoszą dziecko i proszą mię na ojca chrzestnego. Naturalnie zaprosiny przyjmuję i daję prezent, o co właściwie, jak się zdaje, głównie chodzi.

Zauważyłem jedno: cyganie w ogóle — o mężczyznach mówię — mało dbają o strój. Ale z chwilą, jak się osiedlą, budzi się w nich ogromna kokieterja. Odtąd radziby już tylko nosić haftowane koszule, szarawary i kaftany wyszywane, z dużemi srebrnemi guzami i czapki futrzane. Kobiety stroją się też zaraz w cienkie płótna, czerwone perkale i żółte jedwabie — szczyt elegancji! Wreszcie buciki lśniące i brzęczące. Niektóre sprawiają sobie nawet rękawiczki i parasolki. A o srebrnych i złotych pierścionkach, naszyjnikach z pereł, z pieniążków albo muszli już nawet nie mówię. Te są najniezbędniejsze, jakkolwiek częsty, bardzo częsty odbywają spacer... do lombardów. W obejściu znać mieszaninę nabytych manjer z przyrodzoną dzikością, której wszelako młode cyganki bajecznie szybko i łatwo się pozbywają. W służbę idą bardzo niechętnie, choć przywiązują się dość łatwo. Mężczyźni godzą się często na stangretów, pilnują koni znakomicie i powożą lepiej, niż najlepszy woźnica".

Pieśni bez nazwy.

Czego płaczesz? Dlaczego łzalśni w twojem oku?
Za czem tęsknisz? Czy tylko za lubym spokojem?
Czy płaczesz nad słabością, jaka w sercu mojem
Panuje? Czy Ci smutno od mego widoku?
Co znaczą te westchnienia i co te łzy znaczą?
Jeżeli ci nie miła moja nędzna postać,
Powiedz, dlaczego tutaj kazałaś mi zostać?
Czemu poisz me serce łzami i rozpaczą?
Wszakże od Twego tylko zależało słowa,
Bym Ci rzekł: »Do widzenia« albo »Bywaj [zdrowa!«

Na przywitanie nie żądam wiele,
Zaledwie, że się prosić ośmielę,
By Twoja rączka drobna i biała,
W mej dłoni chwilkę choć pozostała,
Bym pocałunek wycisnął na niej,
Nie musiał zawsze mówić Ci »pani«
Aby przeminął czas ostrych słówek,
Smutnej niezgody, przykrych wymówek,
Byś mnie kochała jeszcze goręcej,
I coraz bardziej i co raz więcej...
Aby to było szczere kochanie...
Więcej nie pragnę... na przywitanie.

Wincenty Rapacki (syn).

Wiadomości bibliograficzne.

„Encyklopedja rolnicza“, wydawana staraniem i nakładem muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, tom III. zeszyt XXIII.—XXVII. (Fabrykacja nawozów. — Gorzelnictwo). Warszawa, Gebethner i Wolff, druk S. Sikorskiego, 1893, w 8-ce większej, str. 1—368, z rycinami w tekscie.

Kleczyński Józef dr. prof. „Pogłówne generalne w Polsce i oparte na niem popisy ludności“. (Odbitka z XXX. tomu Rozpraw Wydziału histor.-filoz. Akademji umiej.) Kraków, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag.. 1893, w 8-ce, większej, str. 23., 30 ct.

Nusbaum Józef dr. „Podręcznik zoologji do użytku w klasach niższych szkół średnich, oraz do nauczania prywatnego, dla młodzieży od lat 10 do 14“. Kraków, nakł. G. Gebethnera i Sp., druk Wł- L. Anczyca i Sp., 1894, w 8-ce, str. 334 i 2 nl. 2 złr.

Pawlikowski Stef. dr. „Rzut oka na gospodarstwo wiejskie w Galicji“. (Odbitka z Ekonomisty polskiego). Lwów, druk. Ludowa, 1893, w 8-ce większej, str. 35.

„Słownik geograficzny Królestwa polskiego i innych krajów słowiańskich“, wydany pod redakcją Br. Chlebowskiego, t. XII. (Szlurpkiszki — Warłynka). Warszawa, z zasiłku Kasy im. Mianowskiego, druk. Wieku, 1892, w 8-ce, str. 960.

Sulima Zygm. Lucjan. „Historja Franka i Frankistów“. Kraków, nakł. G. Gebethnera i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff, Petersburg, Br. Rymowicz, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1893, w 8-ce małej, str. 267 i 1 nl. 1 rub. 20 kop.

„Z dzisiejszej doby“, VII. i VIII. Lwów, nakł. Ed. Webersfelda, druk. W. A. Szyjkowskiego, 1893, w 32-ce, str. 23. i 21, po 10 ct.
VII. Polityka rządu względem kościoła;
VIII. Gorzka prawda.